ROZMAITOŚCI.

Dnia 11 września, Ner 37. roku 1847.

DON ŻUAN MORIQUE.

POWIASTKA Z ŻYCIA AKTORSKIEGO.

Pewnego wieczora za czasów dawnéj konstytucyi wysypały się liczne tłumy publiczności z teatru *del Principe* w Madrycie. Z ust wszystkich brzmiało imię Weronika Moreto. Byłato młoda artystka, która dziś po raz piérwszy tak szczęśliwie na scenie wystąpiła, jak się tego tylko po tych jenijalnych umysłach spodziewać można, które swe nieomylne powołanie czują, i za niém nieustannie dążą, chociaż im tysiączne przeciwności i zawady w drodze stają.

Obok zachwalonéj debiutantki zajaśniał dziś także talent Don Żuana Morique, który do ról piérwszych kochanków i młodych bohatérów przy pomienionym teatrze był umieszczonym. Morique, jeden z najprzystojniejszych mężczyzn w Madrycie i ulubieniec Dam wszystkich, pałał świętym ogniem dla swojéj sztuki, i tylko wtedy prawdziwie czuł się szczęśliwym, gdy wniknąwszy w ducha poety, w téj lub owéj klasycznéj trajedyi, mógł olbrzymią potęgę losu lub tryjumf miłości, z przerażającą prawdą ludowi przedstawić.

Dla Weroniki otworzył się świat nowy. Hołdy publiczności, pochwały dyrektora, który w niéj nową podporę teatru ujrzał, szydercze spojrzenia i tajemnicze szepty aktorek, które w niéj z trwogą niebezpieczną rywalkę upatrywały; wszystko to snuło się w dziwotwornych postaciach przed jéj duszą, nie dozwalając jéj dostrzegać zwyczajnego po każdém przedstawieniu zgiełku w garderobie. Z rozpuszczonémi włosy, które jéj bujnie w kruczym połysku po szyi spływały, siedziała Weronika spokojnie, w białą owinięta mantylę, i wypoczywała po niezwykłém fizyczném i umysłowém wysileniu.

»Zaprawdę, skończona piękność!« szepnął sam do siebie malarz dekoracyjny Montino, stojąc w otwartych drzwiach i niepostrzeżenie wzrokiem ją pochłaniając. »Co za piękna twarz! Jakie płomienne oko! A usta — w pół to rozwarty kwiat granatu na śnieżnéj bieli Gwadaramy!«

Tak po wszystkie czasy słynęła Hiszpanija z piękności swoich kobiét, a wygnani z niéj Maurowie modlili się co piątku do proroka, aby ich powrócił do kraju, który już tu na ziemi, tego im użyczał, co wiernym dopiéro w niebie jest przyobiecane.

Gdy już wszystkie kostiumy dzisiejszego wieczora powynoszono, a kilku chłopców przyniosło kasyjerowi bilety, które zwyczajem owych czasów, dopiéro pod koniec przedstawienia odbiérano; wszedł Morique w płaszczu owinięty do garderoby, i z ugrzecznioną grandecą hiszpańską podał ramię Weronice i pośród młodych modnisiów, stojących przed wnijściem do teatru, odprowadził słynną artystkę do jéj mieszkania — w *calle de los Preciosas*, co było ściśle zachowywaném prawem piérwszych kochanków teatrów hiszpańskich. Jednak w obecnym razie było to czémś więcéj niż zwyczajem. Nie darmo bowiem zajrzał Don Żuan przy piérwszém spotkaniu w oczy swójéj pię-

knéj koleżance. — Weronika była piérwszą i ostatnią myślą Moriqu'a.

»Prawdaż-to, albo mię zmysły łudzą?« zawołał sam do siebie Morique, pożegnawszy się z nią u progu, i spiesząc bez celu, sam nie wiedząc dokąd w tak późnéj nocy.

Dokąd? O, noc w Hiszpanii wszędzie i zawsze jest piękna. Ktoż jéj urok opisze? Raźno jak duch narodu rozwija się noc hiszpańska, skoro tylko ostatni promień gorącego słońca zgaśnie na widokręgu. A jakże miłym jest chłód powiewny, który z nocą przybywa i pomiędzy cyprysami szeleści! Gdzież jest malarz, któryby wiernie oddać zdołał księżyc hiszpański z tą cichą spaniałością, z jaką on po czystych niebiosach płynąc, ponad kościoły i klasztory się wznosi, w których olbrzymich cieniach, duch przeszłości panuje, i czasy maurytańskich władców przywoływa, podczas gdy złoty blask jego, dzisiejszy krzyż chrześcijański na szczytach świątyń, migotnym połyskiem opromienia.

Chciwie czatuje natenczas ucho na odgłos tamburynu i grzechotanie kastanietów, towarzyszących zwrotnym ruchom tańcu. Z słodką tęsknotą dzwoni w dusze jednostajna nuta gitary, któréj Hiszpani piosnką wtórują, piosnką, którę już ich ojcowie nucili, i która nader drogie wspomnienia budzi; są to śpiéwy dumne, szlachetne i namiętne, jak na Kastylijana przystoją.

Nie wiedząc sam którędy przyszedł, ujrzał się Morique nagle na placu *del Sol*, na owém centralném ognisku stolicy, gdzie się Hiszpani podobnie jak Francuzi w *Palais royal* zgromadzają. Z kawiarni *Fontana di Oro* brzmiał głuchy odgłos dzikiéj wrzawy stronników konstytucyi, którzy tu zwyczajnie swe schadzki wieczorem miéwali. Morique owinął się starannie płaszczem, i wymijał każdemu z drogi, aby mu nikt miłych marzeń nie spłoszył, gdyż pierś jego tym razem była nadzwyczaj wzruszona. Chciał właśnie zejść ulicą *calle mayor*, gdy naraz usłyszał swe imię wymówione. Obejrzał się spieszno, i postrzegł swego przyjaciela Jeronima, utalentowanego malarza, który nadbiegł ku niemu, i serdecznie za rękę go uścisnął.

»Przyjacielu« ozwał się Jeromino — szukam cię wszędzie, aby ci podziękować za rozkosz, jakąś nam dziś grą swoją sprawił. Zaprawdę, nigdyś jeszcze tak dobrze nie grał; taki tryjumf, jakże rozkoszne uczucie sprawiać musi!

»Tak sądzisz?« — odpowiedział Morique oziębłe, biorąc przyjaciela pod ramię, i idąc z nim ku Prado.

»Albož wątpisz?« rzekł Jeronimo. »O, jakże zazdroszczę aktorowi, który natychmiast nagrodę za swój utwór odbiéra, gdy przeciwnie malarz zaledwie po wielu latach znawcę znajdzie, co ważne słówko za nim przemówi.«

»Wasze twory pozostają też na lat wiele, gdy nasze z jedną chwilą ulatują. O waszych dziełach sądzi potomność, o nas obecność wyrokuje. Obecni zazwyczaj są obojętni, waszym tworom wieki świętości nadają. Słowo aktora idzie z nim razem do grobu, — lecz przestańmy mówić o tém. Powiédz mi prawdę, czy cię w istocie zadowoliłem?»

»Czy mię zadowoliłeś? O, to słowo za słabe! Wszak wiész, iż ci zawsze otwarcie błędy twe wytykałem.«

»Po tém właśnie też poznaję szczérego przyjaciela i niewymownie wdzięcznym ci za to jestem. Gdyż przy teatrze niéma przyjaźni, kulisa jest jéj granicą.«

»Niechże więc ta przyjaźń trwa wiecznie, jak wieczną jest sztuka, któréj dziś nieśmiertelny wieniec uwiłeś. Jakże wzniosłym i niezrównanym byłeś w scenach z Weroniką. Każde słowo padało jak żarząca iskra w wybuch zachwycenia. Byłto wieczór któryby w rocznikach sceny madryckiéj złotym napisem upamiętnionym być powinien. Przedstawienie dzisiejsze pozostanie na wieki w mojéj pamięci, gdyż każde twoje słowo, każda myśl twoja była istotnym czynem, natchnionym i odlanym w świętym ogniu zapału. Sztuką jest miłością, i miłość też wiedzie do sztuki. Jakoż przyznaj się przyjacielu, cały twój utwór dzisiejszy był dziełem natchnienia, którém cię mi-

łość przejęła. Ona to była żywotném tętnem twéj gry dzisiejszéj; serce twe bije dla pokrewnéj duchem istoty, ty kochasz Weronikę!«

»O, na wielkiego Boga przysięgam« — zawołał Don Żuan— »Kocham ją, kocham z całym zapałem duszy mojéj!«

Nastąpiła chwila milczenia. Dopiéro po niejakim czasie wznowił Morique rozmowę i rzekł: »Szczęśliwy, kto prócz kochanki, ma jeszcze przyjaciela, któremu się zwierzyć może w chwili przepełnionego uczucia!«

»Więc ci raz jeszcze oddaję całkiem serce moje« — ozwał się Jeronimo. »Przyjaźń trwalszą jest od miłości. Jednakże jednéj rzeczy ukryć przed tobą nie mogę.«

»I czegoż to?«

»Zmiany twego sposobu myślenia. Moc charakteru sądzę, jest artyście niezbędnie potrzebną, gdyż bez niéj niémasz zbawienia, ani w życiu ani w sztuce.«

»Jakże mam to rozumiéć przyjacielu?«

»Nie raz mię zapewniałeś, iż nie będziesz nigdy kochał osoby, należącéj do sceny.«

»Ktoż może sercu rozkazać? Nie wyrastaż miłość, jak kwiatek polny? dasz się ona w swym pojawie wstrzymać? Nigdy rozumowi nie poświęcę miłości. Wiém w prawdzie, iż rzadko która aktorka dobrą matką bywa, lecz nie jestże Weronika jeszcze młodą? Nie mogęż ją tak prowadzić, aby zarazem sztuce i światu zadość czynić umiała?«

»Trudno dwóm panom służyć. Wybacz méj otwartości — wszakże jest ona znakiem, jak szczérze szczęścia twego pragnę.«

»Szczęścia!« zawołał Morique. »Tak, będę szczęśliwym, lecz wtenczas tylko, kiedy Weronika moją będzie. O, ty nieuwierzysz, jak mię ta dziewczyna w czarodziejski sposób owładła; z jakąż gorliwością oddaję się scenie, kiedy widzę, iż ona na mnie patrzy i słów moich słucha. Dla niéj, i przez nią wzniosę się na szczyt sztuki. Pozwól mi być szczęśliwym, i ciesz się szczęściem mojém!«

»Z duszy sobie tego życzę.— Odprowadzałeś zapewne Weronikę do domu?«

»Tak jest, i czułem się w niebie przy jéj boku.«

»Znałześ ją już wprzódy?«

»Znam ją od owego dnia, kiedy król do Aranjuez zjechał, a mnie ten zaszczyt przypadł wystąpić przed nim. W parku niedaleko wodospadu, nad brzegiem Tagu, obaczyłem ją...«

»Ona jest siérotą?«

»Jéj ojciec, byłto waleczny oficer, zginął w bitwie pod Vittoria, a brat jéj, w powstaniu w Kadyksie. Pozostała sama jedna na świecie, i potrzebuje opieki.«

»Jakimże sposobem zbliżyłeś się do niéj?«

»W kilka tygodni przyszła sama do mnie, i wyznała mi...«

»Swoję miłość?«

»Tak, swoję miłość do sztuki; a to z takim ogniem, z takiém uniesieniem, iż od razu poznałem, jak wielki talent w niéj zamieszkał, poznałem, iż mogłaby kiedyś być chlubą sceny, która niestety w Hiszpanii coraz bardziéj upada, ponieważ niéma już poetów, coby się jéj, jak niegdyś, ujęli. Naród w poetów ubogi, jest narodem wpół umarłym. Poezyja rozbudza do czynów, sztuka zniewala.

»A ileż to razy nie mówiłeś, iż gdybyś nawet oczywisty talent przed sobą widział, starałbyś się odwrócić go od dramatycznego zawodu; jak też w istocie zawsze tylko czarną stronę aktorskiego życia malujesz.»

»Kto równie jak ja, zna to życie, temu świętym jest obowiązkiem, zwracać uwagę na wszystkie błędne ścieżki zawodu scenicznego. Toteż ile razy mi się powiodło sprowadzić kogoś z téj śliskiéj drogi, zawsze sobie mówiłem: spełniłeś dobry uczynek.«

»A więc i Weronice takiež samo wyprawiłeś kazanie?«

»Nie inaczéj; zwłaszcza dowiedziawszy się, iż to jedyny jéj sposób uniknienia nędzy, która po spożyciu ostatniego szeląga po ojcu, ją oczekuje. Biada temu, który, że tak powiem, nie czując istotnego powołania, z rozpaczy zawodowi się teatralnemu poświęca; w takim razie

piérwszy krok na deskach, jest mu krokiem w państwo nędzy, która niewidomie w swoje bierze go ramiona.«

»Ależ, jeżeli rzeczywiście ma talent?«

»I wtedy jeszcze staram się ile możności odstręczać; gdyż talent samemu sobie zostawiony, może łatwo się zbłąkać. Sam tylko jenijusz toruje sobie przebojem drogę do chwały, a utalentowanych nawet ludzi, widzimy teraz w nędzy przy teatrze.«

»Gdy jednakże osobliwsze przymioty ciała w poczet wchodzą, gdy artystkę tak nadzwyczajna piękność wspiéra, jak np. Weronikę; wtedy przecież możnaby, sądzę, na pewne liczyć zwycięztwo.«

»Zwycięztwo? Nazwij to raczéj klęską. Wierzaj mi; iż oko moje zawsze smutno patrzyło, gdym obaczył poświęcającą się scenie młodą dziewczynę przyozdobioną niepowszedniemi wdziękami, które zapewne są wielkiéj ceny dla przedstawień mimicznych, ależ zarazem większém jeszcze niebezpieczeństwem, dla saméj dziewczyny.«

»Dajmyż już temu pokój« — zawołał Jeronimo — »i opowiadaj mi raczéj o Weronice. Kiedyż i w jakiéj sztuce znowu wystąpi?«

»Za dni czternaście, jako Anita, w Lopeza sztuce tegoż nazwiska, a w któréj ja gram Matea.«

»I pod twojemże przewodnictwem uczy się roli?«

»Tak jest, i mam się za szczęśliwego, że jéj nauczycielem być mogę. Wiész, że wszystkie nasze teatralne księżniczki ze swoją fałszywą patetyczną deklamacyją, były mi solą w oku; iż unikałem starannie wszelkiego spotkania z niémi, oprócz w teatrze; dziś jednak uczuwam po raz piérwszy potęgę miłości, i poznaję, iż życie artysty bez miłości, jest tylko połową życia, niebem bez gwiazd!«

»Ha, niechże ci się nigdy to niebo nie ochmurzy! Ale Weronika jest piękną; twoja miłość wzbudzi wiele zazdrości pomiędzy mężczyznami, równie jak talent twojéj kochanki, pomiędzy damami teatralnémi.«

»Moja stałość zwycięży liczbę moich nieprzyjaciół, a jéj talent pokona owe wyróżowane łątki teatralne, te chwilowo połysne muszki, które w sztuce ani przeszłości ani teraźniejszości niémają.«

»Wybacz mi, ale dajesz się unosić zazdrości.«

»Rad jestem, że ją czuję; gdyż nadaje mi ona nowego bodźca miłości. Wierny sztuce i Weronice, nie troszczę się o resztę w świecie, i stać będę spokojny, jakkolwiek losy groźnie srożyć się zechcą.—

Blizko trzy tygodnie upłynęło od owego czasu, aż przecież niecierpliwie czekająca publiczność, wyczytała na afiszach: »A n i t a, dramat w 5 aktach przez Lopeza de Vega.«

Przed głównym wchodem teatru wyprzedzały się liczne powozy, uprzężone mułami, których pobrzękujące dzwonki mieszały się dziwacznie z wołaniem przekupniów owocowych. Ponieważ teatr del Principe w wązkiéj leży uliczce, przeto stawał się natłok coraz większym, i nie bez szyderczego uśmiéchu przypatrywało się temu zbiegowisku kilku niezatrudnionych aktorów sceny della Cruz i del Principe, gdyż członkowie obudwóch teatrów stanowili jednę trupę, opłacaną ze szkatuły królewskiéj.

Owoż kiedy ci panowie paląc sygara na balkonie, z spieszących do teatru Dam żartowali; zawołał nagle aktor Carpo, grywający zazwyczaj intrygantów: »Patrzcie, czyż to nie nasz Morique tam nadchodzi?«

»Tak, nasz Roscijusz hiszpański, Talma Madrycki!« — drwili sobie towarzysze, spoglądając na ulicę. »Onto, a przy jego boku owa gwiazda, co dziś całą naszę trupę ma zaćmić; nowy meteor, który na naszém scenicznem niebie wschodzi.«

»Tak, doprawdy, Weronika Moreto i Morique. A co za powaga na twarzy Don Żuana; każdy rys, zdaje się syestę odbywać!«

»Czyż ona w saméj rzeczy tak niezrównana?« zapytał jeden z aktorów teatru della Cruz. »Przecież któryś z was już zapewne ją widział dzisiaj na próbie?«

»Nie śmiém nic mówić« — ozwał się

komik Tomasillo. Pysio nieszpetne, ale co do jéj ruchów, te przypominają mi praczki z przedmieścia nad Manzanarem.»

»Tak Porfia twierdzi» — dodał trzeci — »nie umié ona ani chodzić ani stać na scenie, lubo Morique wszystkiémi siłami wyuczyć ją tego pragnie. Zdaje się, ze on rozum dla niéj postradał.

„Mniejsza o to” — przejął Rodriguez, który od lat dwudziestu charakterystyczne role na obudwóch teatrach grywał — toż sobie jeszcze pohulamy na weselisku. Don Francisco!”

»Czém mogę służyć? zapytał grzecznie, jeden z młodszych artystów.

»Daj mi jeszcze sygaro.”

»Oto jest; ale czy nie myślicie się już ubiérać? Wszak już czas ponoś?”

»Jeszcze chwilkę; sygaro pilniejsze nad tę moję lichą rolę dzisiejszą.”

»Jakto, licha rola? Przecież jest jéj przeszło trzy arkusze.”

»Właśnie dla tego ani zajrzałem do niéj; taką bzdurę grywam zwyczajnie na ucho. Ale radbym już, aby się ta głupia komedyja raz skończyła.”

Tymczasem tłumy publiczności weszły do środka. Rozpoczęło się widowisko. Wszystkie miejsca były przepełnione; nawet w loży przeznaczonéj dla panów radnych, zwanéj *Moxenos*, ani jednego próżnego krzesła nie było.

Lubo teatry hiszpańskie wewnątrz bardzo ponuro wyglądają, do czego osobliwie czarny strój kobiét, brunatne płaszcze mężczyzn i wznoszące się między aktami obłoki dymu z sygarów się przyczyniają; przecież zajaśniała Weronika przy wystąpieniu w całym blasku piękności, i zwróciła wszystkich oczy na siebie. Zaraz piérwszą scenę odegrała przy boku Moriqu'a z takim zapałem i z taką prawdą, że istna burza oklasków za jéj odejściem zagrzmiała.

Grające z nią Damy, wyczerpawszy poprzednio cały zapas intryg przeciwko Weronice, pospieszyły teraz za kulisy, aby ją obsypać pochwałami, które, jak to łatwo pojąć, nie wszystkie z czystego pochodziły źródła.

Morique, przyjęty pochwalnie w początku drugiego aktu, i kilkakrotnie w ciągu dalszych scen oklaskany; był najszczęśliwszym z kochanków, i chciał, jak się zdawało, dać uczuć kolegom swoję przewagę, gdyż ustępywał dumnie z drogi tym nawet, którzy się z szumnémi zbliżali doń pochwałami. Już trzeci akt się kończył, a Weronika, jako przewodnia gwiazda całego przedstawienia, osięgała zenit tryjumfu, gdy naraz z parterżyku, nieco podwyższonej części parteru, ozwały się głosy nagany, poparte podobnémiż oznakami w dwóch innych miejscach. Masa publiczności, rozgniewana na niewczesnych sykaczów, zadała im milczenie, ale gdy przeciwnicy ustać nie chcieli, a jakiś młody mężczyzna, cały płaszczem okryty, z parterzyku chciał wznowić zamieszanie, zerwał się nagle malarz Jeronimo ze swego miejsca, i pogroził mu wyrzuceniem go za drzwi, jeżeli natychmiast nie umilknie. Siedzący tuż przy nieznajomym kawaler, ujął się żywo sykacza, i zamierzył bronić go. Jeronimo, widząc się zewsząd do zgromienia nieznajomego przeciwnika zachęconym, rzucił się nań z wściekłością, i aby mu w oczy zajrzéć, zdarł mu kapelusz z głowy. Na to — o nieba! — spadły dwie długie czarne kosy nieznajomemu na ramiona, i »Lorettina! Lorettina!» stugłośnie ze wszystkich stron zabrzmiało. Donna Lorettina była piérwszą kochanką przy teatrze del Principe, i lubo juz przeszło trzydziesto-letnia Dama, lękała się spółzawodnictwa młodéj Weroniki. Ztąd przebranie i zemsta.

Wszczął się powszechny rozruch. Poplecznik Lorettiny umknął, bojąc się, aby go nie poznano. Spuszczono zasłonę, a śród ryku i gwizdu galeryi, gdzie na nieszczęście kilku nieprzyjaźnych zamaskowanéj rycerce miłośników teatru się znajdowało; dał się słyszéć wyrok potępienia: „Precz z teatru!» Poznana i wymieniona przez wszystkich, musiała pani Lorettina wyjść z parterzyku, co dla dumnéj prima-donny tak srogą było hańbą, że do wściekłości przywiedziona, zaprzysięgła publicznie, nigdy więcéj nie postać na scenie. Jakoż bez wielkiéj szkody dla Melpomeny, tak w istocie się stało,

Ale gdzież sposób przywieść rozhukaną publiczność hiszpańską znowu do spokojności, osobliwie w Madrycie, gdzie lud tak potężny ma głos, a każdy za swoje pieniądze mniema mieć prawo odzywania się w sprawach obecnych, i wynurzenia swoich życzeń —?

W takiéj zamieszce nieraz ktoś niespodzianie trafny środek przywrócenia spokoju znajdzie. Takim poradnym człowiekiem był tym razem Jeronimo, który wyskoczywszy na ławkę, zaśpiewał ulubioną pieśń narodową: »Kastylijo, ty dumny kraju!»

Uniesieni porywającą władzą tego hymnu, ozwali się tysiące wtórem, a gdy ostatnie tony przebrzmiały, znowuż przy powszechném *bravo*! zasłona się podniosła.

Dalsze wystąpienie Weroniki zostało przyjęte szumniéjszémi jeszcze niż przedtém oklaskami, a nieudała intryga zawistnéj koleżanki, przyczyniła się do tém zupełniejszego zwycięztwa debiutantki; jakoż i Morique przyłożył się ze wszech sił do zapewnienia jéj stanowczego tryjumfu.

Przeto gdy ostatnia scena nadeszła, gdy wszystkie osoby sztuki przy odgłosie trąb i kotłów w półkolu stanęły, a Morique w imieniu całéj trupy

Weronice wieniec na skronie włożył — zdało się, że niebędzie końca radości.

Piérwszym, który nazajutrz Moriqu'a odwidził, był Jeronimo. Zastał on przyjaciela w najlepszym humorze, gdyż miłość uwesela, a uznanie zasług przez publiczność, jest artyście jedyną pociechą i nagrodą za tyle cierni jego zawodu.

»Cześć, komu cześć przynależy!" — rzekł Morique. »Talent potrzebuje zachęty, ale tu znowu potwierdza się uwaga, że publiczność nie zna różnicy między pochwałą a zachętą. Powiédz sam, cóż dla rzetelnej doskonałości pozostanie, jeźli początkowa artystka tak nieumiarkowaną pochwałę otrzymać może?"

»Ale godziż się tak śmiałe natchnienie, dążące wprost do ideału, nazwać początkowaniem i próbą?"

»A przecież. Znawca wnika głębiéj, i niémasz sztuki, któraby więcéj mamiła, jak sztuka dramatyczna, daleko częściéj rozumiana, niż rozumowo wykonywana. Artysta bywa — jakto z jego natury wypływa — drażliwym i urażliwym; należy miéć wzgląd na tę słabość, jeźli to istotnie jest słabością. Inaczéj artysta straci zdolność wprawiania siebie i publiczność w natchnienie."

»Ktoby cię lepiéj nie znał, gotówby powiedziéć, żeś jest zazdrosnym."

„Zazdrosnym? O, nie. Z duszy i serca wtórzyłem temu wybuchowi uniesienia. Jeronimo, jestem szczęśliwym! Weronika, ona, najpiękniejsza kobiéta w Hiszpanii, kocha mię z całym zapałem młodéj, dziewiczéj duszy, a tyś, mój przyjacielu, piérwszym, który tę tajemnicę z ust moich słyszysz."

»A więc bądź szczęśliwym, choćby tylko — przez złudzenie."

„Nie, nie; nie przez złudzenie! Jestto prawda, jasna jak słońce prawda! O, ja nierozsądny, który niegdyś mniemałem, iż artysta winien unikać wszystkiego, co zbacza z drogi sztuki. Miłość sądziłem igraszką, małżeństwo śmiercią artysty. Teraz widzę, iż tylko w promieniach miłości dojrzewa prawdziwe umnictwo, i że na łonie małżeńskiego szczęścia znajdzie tę upragnioną ochronę, jakiéj mu burzliwe, niesforne życie odmawia."

„Co za błoga przyszłość, jeźli nadzieje twoje się zjszczą!" — przejął Jeronimo. »Sztuka dramatyczna będzie z was niezrównaną miała podporę, a społeczność nieprzebrane źródło wzniosłéj rozkoszy."

»Oby nieba pobłogosławiły moim usiłowaniom. Dobry aktor jest nie tylko dla żyjących lecz i dla zmarłych użytecznym. Dobrzy poeci kształcą dobrych aktorów; a kiedy tamci dawno już w grobie spoczywają i na kresach zapomnienia stoją; natenczas aktor ucieleśnia ich twory przed oczyma narodu, i stara się, aby żyli ciągle w pamięci potomności, która może odda im hołd zasłużony, jakiego uprzedzona społeczność im odmówiła. O, Jeronimo, mam ci jeszcze jednę pocieszającą rzecz donieść."

»Jakąż?"

»Oto dopiąłem tego, że raz przecież kilka naszych klasycznych sztuk na scenie się okaże, w czasie, kiedy same krotochwile i błahe komedyjki na teatrze hiszpańskim panują."

„Światlejsza część publiczności będzie ci wielce obowiązaną. Kto scenę uszlachetnia, ten uszlachetnia swój naród, i wpływa dobroczynnie na oświécenie ogółu. Przyczyń się także do tego wielkiego dzieła. W naszych czasach potrzeba człowieka mocnéj woli. Ale obok minionych wieków, nie zapominaj także czasów obecnych; obok uświęconych tworów złotéj epoki literatury, nie zaniedbuj poetów tegoczesnych, ich to pielęgnować i narodowi w pojęcie wrażać..."

»Będzie najświętszém mojém staraniem. A może jeszcze wrócą do Hiszpanii te czasy, kiedy to arcymistrz Francyi, Corneille, u naszéj sceny charakterów pożyczał, a jéj blask i sława stała się pobudką wydoskonalenia sztuki dramatycznéj we wszystkich krajach europejskich."

„Czy Weronika już pozyskana dla naszéj sceny?"

»Dyrekcyja czuje się szczęśliwą, że ją zobowiązała. Dziś jeszcze zostaną wymieniane kontrakty, jakich z żadnym z artystów przy teatrze della Cruz nie zawarto. Ale teraz, kochany przyjacielu, opuść mię."

„Czy masz iść na próbę?"

»Tak — i nie."

„Zkądże ta dwuznaczność? I cóż gracie?"

»Dramat."

»Jakiż ma tytuł?"

»Najszczęśliwsza chwila."

»W iluż aktach?„

»W dziesięciu, dwunastu, dwudziestu!"

„Żartujesz. Jakiegoż autora."

»Jest ich dwóch."

„Zapewe Montio i de Lussan?

»Nie, Morique i Weronika!"

Po serdeczném uścisku rozeszli się przyjaciele. Morique pospieszył w ramiona kochanki.

* *
*

Niedaleko kościoła św. Paskala, w najpiękniejszéj części stolicy, miała Weronika mieszkanie, urządzone najwytworniéj w francuzkim smaku, na wzór najpyszniejszych pokoi słynnych śpiéwaczek paryzkich.

Na puchowym kobiercu siedziała piękna »piérwsza kochanka" podczas gdy w około nizkie krzesła stały dla gości.

Dla gości? Ale jakiegożto innego spodziéwano się tu gościa nad Don Moriqu'a? nad jéj narzeczo-

nego? Don Morique był przecież ten, którego ona na wieki do siebie przykuła, i któryby za nią życie gotów był oddać?

Już bowiem czyniono przygotowania do zaślubin, które zarówno publiczność jak i członków teatru del Principe obchodziły. Wreszcie nadszedł dzień oznaczony. W przedwieczór odegrano dramat Espinosy: »Próba miłości,« w którym Morique i Weronika, kochającą się parę przedstawiać, a w końcu jako dzieci gorliwéj przyjaźni, połączonémi być mieli. Ta wróżebna sztuka zwabiła roje widzów do teatru, a wystąpienie obojga zostało jednogłośnym okrzykiem radości powitane: Każde słowo, każdy wiersz, napomykający tylko z daleka miłość i szczęście domowe, znajdywały w widzach najżywsze spółczucie. Weronika promieniała w całéj jasni piękności, a gdy pod koniec ostatniego aktu wyszła jako do ślubu ustrojona narzeczona, gdy kochanek podał jéj rękę, wszyscy wzięli grę wyobraźni za prawdę rzeczywistą, i nic nie brakowało, jak tylko, aby publiczność sama do uczty weselnéj się wmieszała, i życzenia swoje państwu młodym złożyła.

Wtém nagle, przed zupełném skończeniem sztuki, spadła przypadkiem waga przytrzymująca zasłonę, a zasłona spuściła się w dół piorunem, jakby publiczność słów ostatnich dosłuchać nie miała, jakby zasłona przegrodą między niémi stanęła.

Równie publiczność jak i oboje narzeczeni zostali tym przypadkiem nieprzyjemnie dotknięci. Kwiaty i wieńce, przeznaczone do obsypania kochanków, spoczęły spokojnie na miejscu, i dopiéro po długiéj chwili ozwało się kilka głosów, żądających okazania się dwojga pary.

Nazajutrz odbyły się zaślubiny przy niezmierném zbiegowisku publiczności w kościele św. Izabeli. Oddawna nie widziano tak pięknéj kobiéty przy ołtarzu. Radość była powszechną, a jeden tylko człowiek w całém zgromadzeniu nie podzielał spólnego wesela, gdyż z surową powagą na twarzy opiérając się o filar, spoglądał na grupę. Byłto Jeronimo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 35ty i zawiéra: 1) Odpis na artykuł P. E. J. w nrze 33 Tygodnika. 2) O uprawie kukurudzy. 3) Rzecz o lasach dla właścicieli lasów i urzędników ich. 4) Przegląd książki: Rozprawy c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego. 5) Wiadomości handlowe i przemysłowe, 6) Uwiadomienie potoczne.

Zamieszkalność planet, słońca, gwiazd stałych, i t. p. była oddawna przedmiotem żywych sporów uczonych. Już Laland zapytał: »Naczémże polegałoby wyłączne prawo naszéj ziemi do zamieszkujących ją stworzeń? Chyba tylko na zabobonnéj i nieśmiałéj wyobraźni tych, którzy nie umią wznieść się ponad zakres swoich bezpośrednich zmysłowych dostrzeżeń.« — Naprzeciw temu mniemał Wolter: »Moglibyśmy wprawdzie przypuścić, że i reszta planet podobnie jak nasza ziemia, jest zamieszkaną; atoli mamy do tego przypuszczenia właśnie tyle powodów, jak człowiek, co ma pchły, do wnioskowania ztąd, że wszyscy, których on na ulicy spotyka, także je mają. Być to łatwo może, ale jeszcze to nie jest dowodem, że tak się ma w saméj rzeczy.« — Mimo to wydał dr. Plisson w Paryżu pismo pod tytułem: »Światy, czyli badania filozoficzne o warunkach istnienia stworzeń organicznych na gwiazdach naszego systemu planetarnego«, w którém rozwija nową w téj mierze hipotezę, zastosowaną do obecnego stanu umiejętności. Dzienniki francuzkie chwalą jednogłośnie to pismo.

Ziemia święta jest teraz ulubionym celem podróżników angielskich. Ślady tego dają się tak widocznie dostrzegać, iż pewien turzysta w Syrii o téj modzie donosi: »W Jerozolimie pełno Anglików. Trzy zajezdne małe domy nie mogły pomieścić gości, z których wielu musiało nająć pomieszkanie prywatne, o co tu niezbyt trudno. Ja sam znalazłem przytułek w gościnni, należącéj do łacińskiego klasztoru, gdzie pokoje bardzo schludnie i przyjemnie są urządzone. Właśnie buduje się obszerny hotel, który jednak dopiéro na przyszłe lato gotów będzie. Kościół anglikański prawie już ukończony, z wyjątkiem dachu, do którego właśnie z Anglii łupek ma przybyć. Nowy biskup Jerozolimski pełni swój duchowny obowiązek z chwalebną gorliwością. Starał się wszelkiémi sposoby pozawiązywać jak najprzyjaźniejsze stosunki z naczelnikami reszty sekt chrześcijańskich; lecz, ile mi wiadomo, sam tylko biskup ormiański zbliżył się nieco do niego. Żydzi zdają się wzrastać w liczbę i bogactwa; napływ cudzoziemców nastręcza im sposobności do okazywania swego wekslarskiego talentu, i można też w saméj rzeczy bardzo znaczne weksle bez trudności w Jerozolimie spieniężyć. Również i w innych świętych miejscach talmudu, mnoży się liczba Żydów, jak mię zapewniano, z nadzwyczajną szybkością. Pomiędzy angielskiemi podróżnikami znajduje się także czcigodna lady Talbot, która w wieku zgrzybiałym, sama jedna podróż przez puszczę odbyła; tudzież *miss* Martineau, która na Petrę do Jerozolimy pielgrzymowała. W Kairze i Damaszku zwidziła ona kilka haremów i zapewne obszerniejszą wiadomość o nich nam poda. — Z Jeruzolimy udałem się do Nazaretu, gdzie w nowéj gościnni przy klasztorze bardzo dogodne mieszkanie znaleźć można. Ale nad wszystkie klasztory słynie teraz ów na górze Karmelu, nad którym od 20 lat już budują, i który teraz do najmodniejszych osobliwości kraju należy. Są tam pokoje dla podróżnych, urządzone z wszelkim wytworem europejskim; jest początek wyborowéj biblijoteki, zawierającéj już obecnie wiele szacownych i rzadkich dzieł, jest aptéka, gdzie sąsiedni Arabowie lekarstwa i poradę lekarską otrzymują. Ztamtąd zwróciłem się do Tyberyjady, kędy podróżni u Żydów dość porządnie się mieszczą, a jeden z takowych dorywczych gospodników oprowadza cudzoziemców po wszystkich historycznych miejscach poblizkich: jak Kapernaum, Betsaida, Chorazim, i pokazuje wszystkie biblijne zakątki z tąższamą niezawodnością, z jaką mnisi w Nazarazie warstat stolarski Józefa pokazują.«

Miasto bożków. Nie masz zapewne nigdzie tak obfitego w świątynie i bożki miasta, jak miasto Nasik w Przednich-Indyjach, w pobliżu najświętszéj Hindusów rzéki Godawery. Miasteczko liczące zaledwie 20.000 mieszkańców, ma 150 właściwych świątyń, pomiędzy któremi 30 większych; prócz tego jest tam jeszcze 50 *maths*, czyli miejsc świętych, i 20 łazienek służących do religijnych obrzędów. Do tych łazienek otrzymują pokutnicy dopiéro wtedy przystęp, gdy braminom krowę w darze przywiodą. Liczba boż-

ków dochodzi dwóch tysięcy; z tych jest 350 z kruszcu, 100 z kosztownego marmuru, reszta z prostego kamienia. Prócz tych 2000 posągów jest jeszcze 150 *samadhias*, to jest grobowców zmarłych pokutników, 80 pomników wdów spalonych i 40 drzew banijanowych, które wszystkie cześć boską odbiérają. Sami braminowie uchodzą za półbożków. Pamiętną jeszcze jest rzeczą, iż liczba bożków krajowych tak dalece z czasem urosła, że nawet najstarsi i najuczeńsi braminowie całkowicie jéj nie znają. — Pomiędzy wyliczonémi posągami są niektóre wyborne prace rzeźbiarskie, zostające w okropnéj sprzeczności z bardzo nizkim stopniem oświaty pod każdym innym względem.

Nowy sposób pozłacania. Pewien uczeń Berzeliusza — tak opowiada londyńskie pismo »*Athenaeum*« zajmował się w Szwecyi oddawna pozłacaniem za pomocą galwanizmu, i używał przy swoich doświadczeniach skórki baraniéj, okrytéj jeszcze kilką kosmykami wełny, które wszystkie bardzo pięknie się pozłociły. Tém zdziwiony powtórzył chemik kilkakrotnie też same doświadczenia, w skutek których powiodło mu się nareszcie pozłocić całe runo, nie odejmując wełnie bynajmniéj zwyczajnéj miękkości i gibkości. Zaczém udał się młody uczony do Upsali z swym wynalazkiem, który tam powszechne znalazł pochwały. Możemy tedy miéć wkrótce suknie pozłacane lub platynowane, które niezawodnie wszystkie dotychczasowe złotogłowy i brokaty, dobrocią i trwałością przewyższą.

Przedruk belgijski opłaca się, jak widać, wyśmienicie; jest już bowiem w stanie większych francuzkich romansów wcale bezpłatnie publiczności dostarczać. Dwa dziénniki brukselskie ogłosiły, iż abonentom swoim co tygodnia tom francuzkich romansów, a nadto jeszcze co roku dwadzieścia do trzydzieści romansów daremnie dodawać będą. Przy takich okolicznościach nie zbywa dziénnikom oczywiście na czytelnikach, ile że dość jest zapłacić 16 talarów na rok, aby zato 365 ogromnych arkuszy dziénnika, i prócz tego jeszcze małą beletryczną bibliotekę otrzymać.

Gadatliwe wrony. Niejaki pan Gosse wydał w Anglii dzieło o ptakach na wyspie Jamajce, i wymienia pomiędzy innémi szczególnie pewien rodzaj wron, które do zadziwienia głos ludzki naśladują. Oto są własne słowa autora: »W najdzikszych górzystych okolicach Jamajki, gdzie wązka, niebezpieczna ścieżka, jedną krawędzią, olbrzymio w górę piętrzących się skalisk, drugą zaś głębokiéj, stromo spadającéj przepaści się dotyka; albo gdzie samotna, gęstémi zaroślami prawie do nieprzebycia zatarasowana, i tylko o południu prostopadłémi promieńmi słońca oświécona drożyna, środkiem ciemnego, wilgotnego lasu, do samotnéj murzyńskiéj chaty prowadzi; zdarza się podróżnikowi słyszeć dzikie głosy gadatliwéj wrony. Sąto wprawdzie nieurobione, lecz tak wyraźne, tak rozmaite w swoim roździwięku głosy, iż zdumiony wędrowiec z trudnością uwierzyć może, aby to był szczebiot ptaka, i owszem zdaje mu się niewątpliwie, iż słyszy szorstkie spółgłoski i głębokie brzmienia gardłowe jakiéjś nieznanéj sobie mowy. Wszędzie bywają gadatliwe wrony i umią mniéj więcéj głos ludzki naśladować, lecz tu znalazłem jedyny znany mi przykład — opowiada podróżnik — gdzie ptak nieuczony, w swym dzikim, leśnym stanie tak mamiącym sposobem mowę ludzką udaje. Wszakże udawanie to jest bardziéj ogólnego niż szczegółowego charakteru; gdyż każdy, kto tylko te wrony słyszy, zdumiéwa się nad podobieństwem ich głosu z mową człowieka, chociaż żadnego znanego słowa rozróżnić nie jest w stanie; zdaje się to być jakiś język cudzoziemski.

Sygara darem honorowym. Według wprowadzonego przez królowę Izabelę zwyczaju, zaczynają sygara należéć w Madrycie do oznak publicznego wyszczególnienia. I tak niedawno otrzymał jeneralny kapitan Madrytu, w dowód zadowolenia z jego postępowania sobie względem infanta Francisco de Paula, 50.000 sygarów w darze od jéj królewskiéj mości. Ztąd nie wynika jeszcze obowiązek wypalenia osobiście wszystkich sygarów; owszem wolno było obdarzonemu przypuścić do spożycia tego królewskiego daru resztę oficerów załogi, co też istotnie się stało.

Carter, znany poskramiacz źwiérząt umarł przed niedawnym czasem w Londynie, nie jak mu często wróżono pod kłami i pazurami swojéj drapieżnéj drużyny, lecz na zapalenie płuc, w dość młodym wieku. Urodził on się w Anglii, i od lat już dziecięcych okazywała się w nim ta skłonność, która mu późniéj głośną sławę przyniosła. Jeszcze będąc chłopcem, miał już Carter małą menażeryję szkodliwych źwiérząt, które umiał uczynić nieszkodliwémi. Piérwszym jego popisem było złowienie żywego wilka, postrachu całéj okolicy, na którego oddawna polowano. Jakim sposobem on tego źwiérza schwytał, nie wiadomo; dość, że go w przeciągu jednéj nocy zupełnie poskromił. Późniéj sprzedał go do londyńskiéj menażeryi, i kupił sobie za to młodego lwa, którego w przejeździe do Ameryki jak pokojowego pieska ułaskawił. W Ameryce popisywał się po raz piérwszy publicznie swoją sztuką, zebrał wiele pieniędzy, i użył ich na zakupienie innych drapieżnych źwiérząt. Wróciwszy do Anglii, popadł w długi. Wierzyciele nie chcieli czekać dłużéj, a pogromca dzikich źwiérząt miał już pójść do więzienia. Gdy wyrok zapadł, Carter oczekiwał spokojnie sług sprawiedliwości; ale gdy już po niego przyszli, i do drzwi zapukali, któż im otworzył? oto tygrys ogromny z iskrzącémi oczyma, który usiadłszy w progu, czekał na ich przywitanie; ale straż sprawiedliwości podziękowała za to uprzejme przyjęcie, i zrzekła się oddania wizyty. Tém ośmielony Carter, przechadzał się bez najmniejszéj obawy w biały dzień po mieście, w towarzystwie lwa dużego, i nie mógł się nigdy zdybać z żadnym ze swoich wierzycieli, a straż, która miała go pojmać, skoro go zoczyła, uciekała co jéj duchu stało. Tajemnicę, jakim sposobem najdziksze źwiérzęta poskramiał i do zupełnego przywodził posłuszeństwa; wziął z sobą Carter do grobu.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.